

OSIEM DNI ERZSÉBET

JANUSZ MIKA

OSIEM DNI ERZSÉBET

JANUSZ MIKA

*Wszystkie emocje, nienawiść, depresje biorą się stąd,
że nie chcemy umierać. Ludzie się zabijają, popełniają
samobójstwa, właśnie dlatego, że nie chcą umierać.*

Eugène Ionesco, *Szczątki wspomnień*

[Kup książkę](#)

OSIEM DNI ERZSÉBET

JANUSZ MIKA

Redakcja:

Dominika Karwczyńska-Wojtuś

Projekt okładki:

Anna Skurska

Skład

Tomasz Kuc

© Copyright by Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2020

Drogi Czytelniku

Książka, którą trzymasz w dłoni, jest efektem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego, grafików i wydawcy. Prosimy, abyś uszanował ich pracę.

Nie kopiuj większych fragmentów, nie publikuj ich w internecie.

Cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści i podawaj źródło ich pochodzenia.

Dziękujemy.

ISBN 978-83-7729-569-4

KSIĘŻY MŁYN Dom Wydawniczy Michał Koliński

90-345 Łódź, ul. Księży Młyn 14

tel./faks 42 632 78 61, 42 630 71 17, 602 34 98 02

infolinia: 604 600 800 (codziennie 8-22, także sms),

gg 414 79 54

www.km.com.pl; e-mail: biuro@km.com.pl

Łódź 2020. Wydanie 1

[Kup książkę](#)

Ani, Szymkowi

[Kup książkę](#)

INTRO PONIEDZIAŁEK 10 SIERPNIA

Przeraźliwe wycie policyjnych syren, wystrzały, wykrzykiwane przez dowódców oddziałów komendy, jęki i głośne przekleństwa obudziły śpiące w konarach drzew ptaki. Kakofoniczne pandemonium rozpętało się tuż po pierwszej w nocy.

W ciągu godziny wzdłuż Błoń ułożono dziewięćdziesięciu dwóch, w większości wysokich i dobrze zbudowanych, młodych mężczyzn. Wszystkich na brzuchu, ze skutymi do tyłu rękoma. W ciemności nie było widać ich wściekłych oczu.

Na rozciągniętym obok alejki brezencie zgromadzono prawdziwy arsenał: maczety, noże, tasaki, profesjonalne pałki bejsbolowe i zwykłe, wyrwane z ławek deski. Pilnowało go kilku policjantów w czarnych, szturmowych mundurach.

Od strony Piłsudskiego pędził samochód krakowskiej telewizji. Zatrzymał się w niedozwolonym miejscu, roztrącając przy okazji rozstawione na jezdni pacholki. Kierowca przekomarzał się teraz z funkcjonariuszem. Ostatecznie kazano mu wycofać się w rejon Muzeum Narodowego. Reporter z operatorem byli już na miejscu, oświetleniowiec – z pewnością wyrwany z łóżka – grzebał się jeszcze, chcąc nadążyć za kolegami.

Znowu odezwały się policyjne syreny. Na Błonia wjechały jeszcze trzy samochody. Wyprowadzano kolejnych kiboli. Krzyki, obelgi, przekleństwa zlały się w jedno.

– Mamy jeszcze siedmiu – krzyknął ktoś, a komisarz Paweł Dziedzic kiwnął głową na znak akceptacji. Gestem wziętym z amerykańskich filmów odmówił reporterowi komentarza. Kamera filmowała leżących wzdłuż alejki.

Podszedł do grupy pilnującej zarekwirowanych przedmiotów.

– Policzcie to dobrze, jutro – spojrzał na zegarek – to znaczy dzisiaj przed południem chcę mieć na biurku szczegółowy raport. Prokurator już pewnie nie śpi. – Uśmiechnął się pod nosem.

Pomyślał, że tym razem nie będzie oglądać triumfującej gęby Rączego. Akcja była przygotowywana od dawna i została przeprowadzona w absolutnej tajemnicy. Uznał, że nie powie o niej przyjacielowi.

Dopiero teraz poczuł ogarniające go zmęczenie. Ponad sześćdziesiąt godzin na nogach, bez snu... Zorganizowanie gigantycznej obławy wymagało dbałości o najmniejsze szczegóły. Teraz, kiedy napięcie opadło, musiał się przespać. Zlecił Krępowiczowi dopilnowanie transportu zatrzymanych i kazał zawieźć się do domu. Z lewej strony klatki piersiowej odezwały się dobrze znane, charakterystyczne piknięcia, ale dzisiaj Dziedzic nie miał czasu zastanawiać się nad stanem swojego zdrowia. Wiedział, że od rana zaatakują go wszystkie możliwe media. Z pominięciem instytucji rzecznika prasowego.

Na rogu Alej i Krupniczej zwracał uwagę potężny, żółto-czarny baner zawieszony kilka metrów nad ulicą: MONSTERS OF POPCULTURE FESTIVAL. AUDITORIUM MAXIMUM. 14-21 AUGUST.

Dziedzic pomyślał, że znajdujący się tuż obok zniszczony budynek niegdysiejszego Collegium Paderevianum pasuje jak ulał do nazwy festiwalu. Kilka dni temu był świadkiem burzliwych dyskusji toczonych w gronie przyjaciół. Animator imprezy, prozaik i scenarzysta Maciek Krzysiecki, obstawał przy polskiej nazwie Potwory Popkultury. Rączy przypominał, że w Krakowie jeden z festiwali poetyckich nazywa się Poutwory i ktoś mógłby pomylić ze sobą te dwie imprezy. Z kolei trzeci z organizatorów – Marek Doliński, historyk, specjalizujący się w tematyce postkolonialnej, zwrócił uwagę, że słowo *Monsters* kojarzy się z animowanym filmem dla dzieci oraz muzycznym festiwalem – Monsters of Rock. Stało

na anglojęzycznym tytule, uzupełnionym polskim tłumaczeniem, wydrukowanym mniejszymi literami.

Komisarz uśmiechnął się. Trochę wbrew sobie, bo piknięcia z lewej strony klatki piersiowej się nasiliły. W wewnętrznej kieszeni marynarki trzymał jak zawsze piersiówkę z anyżówką, ale w obecności kierowcy zrezygnował ze zbawienego łyku.

Wjechali w Czarnowiejską. Po lewej stronie rośło w siłę imperium Akademii Górniczo-Hutniczej. Nowoczesne budynki przystosowane do pracy dydaktycznej i laboratoryjnej spełniały z pewnością wszelkie standardy europejskie i światowe. Na wysokości Miechowskiej, na Kawiorach i dalej, za Konarskiego stało jeszcze kilka starych, odrapanych kamienic, z pewnością pamiętających początek dwudziestego stulecia. Przy ogromnym, przeszklonym gmachu z wielkim napisem INFORMATYKA wyglądały jak ubodzy krewni, kłoszarzyskie, którzy znaleźli się tu chyba tylko po to, by prosić nowych panów o jałmużnę, o to, żeby nie wyburzono ich jeszcze przez rok, dwa, może trzy. Inne domy zniknęły i między poszczególnymi budynkami powstały nienaturalne wyrwy. Nowe nieuchronnie i ekspansywnie zastępowało stare.

Samochód skręcił w aleję Kijowską i zatrzymał się przed jednym z trzech identycznych wieżowców.

Dziedzic wszedł do mieszkania i starannie zamknął za sobą drzwi. Górny zamek, dolny zamek i sztaba; nawet

bardzo pijany nigdy nie pominął rytuału. Wykonywał te czynności mechanicznie, zupełnie podświadomie.

Dzisiaj jednak był trzeźwy. Trzeźwy i nadnaturalnie zmęczony. Zatoczył się lekko i niechcący trącił ramieniem włącznik światła w pokoju. Wszystkie trzy żarówki rozblęły w jednej chwili.

Włączył telewizor. Eks-gwiazdor stołecznego futbolu, opuchnięty od wody, niemal zupełnie łysy i sepleniący czterdziestolatek, z wyraźną satysfakcją znęcał się nad krakowską piłką kopaną. Sekundowało mu dwóch głupawo uśmiechniętych dziennikarzy. Kolejny kadr przedstawiał leżących wzdłuż alejki skutych kajdankami młodych mężczyzn i kręcących się wokół nich policjantów. Spiker powtarzał bez opamiętania słowo „ustawka”. Gdzieś w tle zauważył siebie. Musiał wejść przypadkowo w kadr. Trwało to tylko chwilę, ale Dziedzicowi nie spodobała się własna twarz.

Zaklął głośno, zgasił odbiornik i całym ciężarem opadł na krzesło. Skrzypnęło. Wyjął z torby paczkę papierosów. Został ostatni żółty camel. Wyszedł na balkon, zaciągając się głęboko. Poszukał popielniczki. Przez chwilę stał, wpatrując się w nieoświetlony ogród. Spółdzielnia mieszkaniowa oszczędzała na latarniach. Podłużny, czarny, koci kształt wyczołgał się bezszelestnie spod krzaka. Błysnęły żółte ślepie.

Wrócił do pokoju i wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki pierśiówkę z anyżówką. Teraz mógł napić się bez obaw. Przechylił się do tyłu i poczuł, że ziemia ucieka

mu spod nóg. Próbował jeszcze przytrzymać się krzesła, ale stało za daleko. Runął na wznak z ciężkim westchnieniem i znieruchomiał.

Gdzieś od strony Błot znów odezwały się policyjne syreny.

DZIEŃ PIERWSZY PIĄTEK 14 SIERPNIA

Przed nową kaplicą salwatorskiego cmentarza zgromadziło się kilkaset osób. Temperatura w słońcu sięgała trzydziestu kilku stopni. Ubrani w ciemne garnitury i białe koszule żałobnicy, oficjalne delegacje policyjne, szczyh z resortu, działacze sportowi, koledzy. Wszyscy pocili się i solidarnie cierpieli z gorąca.

Wśród nich on – jedyny prawdziwy przyjaciel zmarłego. Spojrzał za siebie. Ludzie stali w milczeniu, głowa przy głowie, tworząc rozbiegający się w różne strony, nieregularny półokrąg. W niewygodnych pozycjach opierali się o co okazalsze nagrobne pomniki. Podziemne korzenie drzew zdemolowały poziomą strukturę nekropolii. Tylko nieliczne groby znajdowały się pod kątem prostym względem podłoża. Wyglądało to, jakby pchały się na siebie z intencją fizycznego zbliżenia ciał i dusz.

Natalia, bez makijażu, w czarnej prostej sukience sięgającej kostek, z pomalowanymi na czarno paznokciami u stóp i w czarnych sandałach wyglądała jak neapolitanka uczestnicząca w ostatniej drodze męża, syna, brata unieszkodliwionego na zawsze przez camorrę.

Rączy nie chciał, żeby tu przyszła. Uparła się jednak i, jako wyrozumiały ojciec, nie znalazł argumentu, by jej odmówić. W gruncie rzeczy był zadowolony. Obecność córki wpływała na niego kojąco. Pozwalała mu chwilami zapomnieć o śmierci przyjaciela. Wyciągnął rękę, chcąc poprawić jej spadające na oczy włosy. Dłoń zawisła w powietrzu, powstrzymana siłą woli. Co jakiś czas z niechęcią uświadamiał sobie, że Natalia ma już dwiętnaście lat, zdała maturę i – choć nigdy demonstracyjnie nie odrzucała ojcowskich czułości – także niespecjalnie o nie zabiegała.

Kornel zauważył przepychającego się w jego stronę tęgiego mężczyznę w policyjnym mundurze, obwieszono go licznymi orderami. Poznał inspektora Bronisława Walkosza. Ten ujął go za ramię – Rączy poczuł woń potu zmieszaną z zapachem wody toaletowej – i konfidenjonalnym szeptem zagaił:

– Panie Kornelu, przemówi pan nad grobem.

Nie było to pytanie, a raczej wypowiedziane cicho, acz zdecydowanie polecenie. Ponad dwadzieścia lat w służbach mundurowych, z czego większość na szczeblu oficerskim, nauczyło go w określony sposób formułować i werbalizować oczekiwania względem ludzi.

– No nie wiem – Rączy próbował się wyłgać, nie mając najmniejszej ochoty na mowę pogrzebową.

– Przemówię ja, potem jeden z szefów resortu, a w imieniu kolegów... Przecież to pan był jego najbliższym przyjacielem. Zrobi pan to dla Pawła.

Kornel kiwnął głową bez przekonania.

– Liczymy na pana – podsumował Walkosz i wycofał się do swoich, jednocześnie gromiąc wzrokiem spóźnionego i spoconego jak mysz posterunkowego Dusia, który przeciskał się przez szpaler mundurowych.

W tym samym momencie rozpoczęła się żałobna msza święta. Część liturgiczna upłynęła Rączemu na ocieraniu potu z czoła, oglądaniu czubków swoich świeżo wypastowanych czarnych butów i równie czarnych myślach.

Komisarz Paweł Dziedzic miał czterdzieści sześć lat. W tym wieku rzadko się umiera, ale serce nie wytrzymało. Trzeci zawał w ciągu kilku lat okazał się ostatnim. Mimo że sytuacja pozornie nie budziła podejrzeń, a stan zdrowia Pawła nie sugerował tragicznego finału.

Dziedzic był Kornelowi bardzo bliski. Po śmierci jakby jeszcze bliższy, choć przecież...

Ponad głowami tych, którzy zajęli miejsca w kaplicy, widział część trumny ozdobionej białą-zieloną serwetą i kilkadziesiąt wiązanek kwiatów, wśród nich swoją, skromną, kupioną za sześćdziesiąt złotych. Wiedział, że Paweł nie miałby do niego pretensji. Sam poradziłby mu raczej, żeby – zamiast wydawać pieniądze na

kwiaty – przyniósł porządny flakon i, skropiwszy zwyczajowo grób kolegi, spożył alkohol w intencji spokoju duszy.

Po wielu nieudanych próbach dodzwonienia się do Dziedzica znaleziono jego ciało na podłodze w pokoju, naprzeciw otwartych drzwi balkonowych. Leżał teraz na wznak, a na jego wargach, tak przynajmniej wydawało się Kornelowi, igrał lekki uśmiech – nie wiadomo – żegnający świat doczesny czy witający ten drugi, o którego istnieniu Dziedzic był głęboko przekonany. Tam przecież czekali na niego rodzice, a spory legion nieżyjących kolegów komisarza mógł już zacierać ręce na spotkaniu z Pawłem.

Przypomniawszy sobie wyraz twarzy aspiranta Krępowicza, który polecił mu „natychmiast opuścić mieszkanie denata”.

„Denata! Jeszcze wczoraj stałeś na baczność przed tym denatem, chamie” – pomyślał Kornel. – „Teraz dybiesz na jego stanowisko”.

Rączy dowiedział się o śmierci przyjaciela od starszego posterunkowego Mariusza Dusia, skromnego chłopaka, bez większych ambicji zawodowych. Duś jako lojalny współpracownik Dziedzica był przychylnie nastawiony do Kornela, więc przekazał mu smutną informację, zupełnie lekceważąc regulamin.

On jeden z całej komendy po sławnej sprawie sprzed dwóch lat, którą Rączy opisał w gazecie w cyklu artykułów pod wspólną nazwą *Limeryki zbrodni*, nie otrzymał

awansu ani podwyżki. Duś nie potrafił przepychać się łokciami, brnąc przez smutne koleiny życia starszego posterunkowego. Był koleżeński, nie donosił przełożonym i dlatego budził sympatię Kornela.

Rączy stanął twarzą w twarz z aspirantem Krępowiczem, popatrzył mu w oczy i ujrzał w nich przemożną chęć kariery, lanserstwa i władzy. Postali tak przez chwilę i aspirant powtórzył polecenie, sugerując, że Kornel „niezmożliwia policji wykonywanie czynności służbowych”.

„Będę cię miał na oku, cwaniaczku” – poprzysiągł sobie w duchu Rączy, wychodząc z mieszkania Dziedzica.

I wyszedł. Na podwórku, gdzie jako chłopcy setki razy grali w piłkę, gdzie pili na murku pierwsze piwo barbakan, zgromadził się spory tłumek. Ludzie szepotali między sobą, powstawały kolejne wersje wydarzeń sprzed kilku godzin. Rączemu wydawało się przez chwilę, że traci przytomność. Sierpniowe słońce mocno grzało w głowę. Nie lubił sierpniowego słońca.

Przysiadł na murku, pochylił się, jakby czegoś szukając, i wtedy usłyszał gdzieś zza pleców ochrypły głos:

– Nic się, kurwa, nie stało. Zdechł pies, z rodowodem, ale tylko pies!

Wypowiedzi towarzyszył przerywany nerwowym kaszlem rechot.

Kornel podniósł głowę. Kilka metrów dalej pod trzepakiem stało dwóch meneli. Chyba nie byli stąd, przynajmniej Rączy nie znał ich twarzy. Mimo wczesnej pory kiepsko trzymali się na nogach.

Potężny cios zadany lewą ręką Kornela zwałił z nóg jednego z amatorów tanich win. Drugi stanął w postawie bojowej, niezdarnie wyciągając przed siebie pięści, a jednocześnie ściskając pod pachą reklamówkę w bezwarunkowym odruchu ochrony jakże cennej własności.

Rączy przymierzył między oczy prawym prostym, a chwilę później, trzymając głowę pijaczka na wysokości krawężnika, szeptał mu nad uchem:

– A teraz powtórz, śmieciu: zmarł pan komisarz Paweł Dziedzic. Należy mu się szacunek.

Menel posłusznie zaczął coś mamrotać. Kornel uznał jednak, że bełkotowi zbyt daleko do zadanej formuły. Stuknął głową pijaczka o krawężnik. Tamten jęknął, a czyjeś mocne ręce pochwyciły fachowo Kornela. Napastnik założył prawidłowo podwójnego nelsona. Rączy pomyślał przez chwilę, że to kumpel tamtego. Wyswobodził się częściowo z uścisku, sprowadzając przy tym samego siebie do parteru.

Spojrzał w górę. Nad nim stał, lekko dysząc, aspirant Krępowicz.

– Panie Rączy, co pan wyprawia? Niechże pan idzie do domu. Chce pan, żebyśmy musieli pana zatrzymać?

Kornel podniósł się z ziemi, otrząpał tył spodni. Bez słowa przeszedł przez środek trawnika, kierując się w stronę ulicy Spokojnej.

Homilia księdza Korneliusza, policyjnego kapelana, miała charakter rutynowy. Być może upał sprawił, że kapłan nie silił się na emocjonalny ton. Przypomniał

zasługi komisarza, odnosząc się w szczególności do ostatniego sukcesu. Ich wspólnego sukcesu.

Mateusz Krasnopolski przesyłał – wraz z Urszulą – pozdrowienia z Brugii. Toczył się jeszcze proces gangstera Szmei, prokuratura zbierała kolejne dowody. Kolega Szmei, Brona, powiesił się pod więziennym prysznicem.

Kondukt ruszył spod kaplicy główną aleją. Grób rodziny Dziedziców znajdował się w nowej części cmentarza. Rączy przypominał sobie o obietnicy złożonej Walkoszowi. Próbował zebrać myśli, aby w możliwie krótki i jak najmniej patetyczny sposób opowiedzieć o przyjacielu.

Orszak dotarł na miejsce. Trumna z ciałem Dziezdica zjeżdżała po linach do wykopanego dołu. Natalia mocno ścisnęła ramię ojca. Zabolało.

Rączy popatrzył na córkę pytająco.

– Tato, ja... Ja coś przed chwilą widziałam...

– Natka, nie teraz. Muszę powiedzieć kilka słów.

– Ale to, to dzieje się teraz!

Inspektor Walkosz wymownym, familiarnym gestem zaprosił Kornela do wygłoszenia mowy.

– Porozmawiamy potem.

Wzrok Natalii wyrażał szczery zawód, co nie umknęło uwadze Rączego. Zupełnie jak wtedy, gdy w dzieciństwie lekceważono jej niecodzienne zdolności.

Przemówienie trwało nie więcej niż trzy minuty. Było kwintesencją tego, co mógłby powiedzieć. Mimo że sporo wątków zachował tylko dla siebie, kobiety – żony policjantów, a także kilku mężczyzn ocierało łzy.

Przy akompaniamentcie salw honorowych wziął córkę pod rękę i wycofał się do wyjścia. Starszy posterunkowy Duś ubrany w galowy mundur, dogonił go już za bramą cmentarza. W ręku trzymał plastikową butelkę niegazowanej wody mineralnej.

– Panie redaktorze, o osiemnastej w Domu Śląskim, organizujemy sty..., to znaczy wieczór wspomnień o komisarzu Dziedzicu. Przyjdzie pan?

– Dziękuję za zaproszenie, ale nie. Przepraszam. – Poklepał Dusia po ramieniu.

– Rozumiem. – Starszy posterunkowy był trochę zawiedziony, ale nie nalegał. – Do widzenia, panie redaktorze.

Kornel w milczeniu ścisnął dłoń policjanta.

Za bramą czekała Natalia.

– Słucham cię. Co się stało?

– Tato, dzieje się coś strasznego... Chyba, to znaczy na pewno! – Kornel cierpliwie milczał, nie przerywając pełnego emocji wywodu córki. – W i d z i a ł a m m ł o d ą dziewczynę zamkniętą w piwnicy.

– W piwnicy? – Rączy ponieważś zdał sobie sprawę z bezsensowności swojego pytania.

– Tak. Drzwi bramy odrapane z resztek bordowej farby... Dziewczyna, blondynka, mniej więcej w moim wieku... Ktoś wciągnął ją... Jakby pod ziemię...

– Jak to wciągnął?

– Drzwi się otworzyły, czyjaś ręka wciągnęła ją do środka, po czym drzwi się zamknęły.

- Potrafisz zlokalizować te drzwi, piwnicę?
 - Nie. Raczej nie. Tyle, że budynek był jedno- albo dwupiętrowy, a drzwi bramy odrapane, pokryte resztkami bordowej farby.
 - A dziewczyna?
 - Nie widziałam twarzy, ale to blondynka w niebieskiej bluzce lub sukience, chyba z torebką na ramieniu.
 - Zapamiętałaś coś jeszcze?
 - Nie, ale jestem pewna, że tej dziewczynie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.
- Kornel już dawno nauczył się, że nie można lekceważyć dziwnych wizji Natalii.

Mężczyzna wszedł do tramwaju na placu Inwalidów. Krótko i równo obcięte jasne włosy ładnie koresponowały z opalenizną twarzy i przedramion. Usiadł na jedynym wolnym miejscu, przeznaczonym dla niepełnosprawnych, opierając łokieć o widoczne na szybie logo z czerwonym krzyżykiem.

Dwie wlepki. Kibolska i rządowa. Ledwie widoczne od wielokrotnego drapania. Kibole zapowiadali ustawkę z delegacją rządową pod Belwederem, politycy odgryzali się, proponując załatwienie sprawy w formie solówki na stadionie. Zamierzali wystawić ministra wojny.

Obok ktoś napisał zielonym flamastrem: „Tomek, twoja stara klaszcze u Rubika”. Głos Grzegorza Turnaua zapowiadał kolejny przystanek.

Jak na tę porę nie było zbyt tłoczno. Orkiestra dzwonek w telefonach komórkowych już dawno przestała mu przeszkadzać, w przeciwieństwie do emerytów tłoczących się w drzwiach, zbyt wolno wsiadających do wozu, notorycznie blokujących wejście, taszczących bezsensownie ciężkie siatki z zakupami: kilogramy ziemniaków, fasoli, porów, kobiałki z truskawkami, naręcza działkowych kwiatów.

Przy Karmelickiej tramwaj dzwonił niecierpliwie, starszy człowiek, ubrany mimo upału w czarny, wyświechtany trencz, gramolił się z tobołami przednim pomostem, zupełnie nie zwracając uwagi na tych, którzy stali za nim na jezdni, niepewni, czy motorniczy nie zamknie im drzwi przed nosem. Stetryczały przyk pozabawiony empatii aż prosił się, żeby ktoś porządnie kopnął go w siedzenie albo przynajmniej popchnął, spełniając dobry uczynek i usprawniając tym samym proces wsiadania i wysiadania.

Motorniczy dzwonił jak oszalały. Mężczyzna wstał i pomógł staruszkowi wypindrać się po trzech marnych schodkach. Ten usiadł z impetem na wolnym teraz krzeselku. Dyszał ciężko, wciągając na kolana swoje toboły. Mamrotał coś pod nosem, modlitwę czy przekleństwo. Z całą pewnością nie było to podziękowanie.

„Jest przekonany, że to mu się należy, bo jest stary” – pomyślał mężczyzna. Z obrzydzeniem, choć nie ceremonialnie, wytarł ręce o spodnie. Tamten mamrotał dalej swoją mantrę, w której naczelne miejsce zajmowała

zapewne jakaś ogólna pretensja skierowana do Boga i świata. Tramwaj minął kościół ojców karmelitów. Znak krzyża nie uczynił nikt. Nie przeżegnał się opalony mężczyzna. Obojętny na prastary obyczaj pozostał emeryt.

Pod koniec lat osiemdziesiątych trójka młodych ludzi sprofanowała karmelitański krzyż. Mężczyzna nie pamiętał tego, ale opowiadano mu, że uczynili to pod wpływem narkotyków i, oczywiście, szatana. Skrzywił się z politowaniem. Tego typu demonstracje uważał za idiotyczne. To jakby wyjść z okopu i tańczyć kankana *vis-à-vis* karabinów wroga, jakby z własnej woli położyć głowę pod gilotynę.

Tak jak zapowiedział głos, tramwaj zatrzymał się przy Bagateli. Mężczyzna wysiadając, ostatni raz spojrzął na staruszka. Wiedział, że mógłby go zabić z tak zwanym czystym sumieniem. Wiedział, bo raz już zabił. Wiedział, że będzie zabijał nadal. Dla niej.

Obudził ją tępy ból w prawej ręce. Powoli otworzyła oczy, ale nie zobaczyła absolutnie nic. Powracająca świadomość budziła kolejne zmysły. Poruszyła bolącą ręką. Coś zadzwęczało. Gdy spróbowała wyprostować ramię, napotkała na opór. Wzrok przyzwyczajał się do ciemności. Szarpnęła ręką, podnosząc ją do wysokości oczu. Na przegubie odkryła metalową obręcz połączoną z łańcuchem. Druga dłoń była dokładnie w tej samej sytuacji. Usta coś zaklejało, chyba taśma. Spróbowała

wstać. Łańcuch był mocny i dziewczyna przypłaciła chęć zmiany pozycji utratą równowagi i bolesnym uderzeniem głowy o kamienną ścianę.

Wpadła w panikę. Nerwowo wywijając rękami, czuła w przegubach coraz większy ból. Nie wiedziała, gdzie jest ani jak się tu znalazła. Oczy powoli rozpoznawały elementy wnętrza.

„Tylko spokojnie” – prowadziła wewnętrzny dialog. Starła się myśleć racjonalnie, ale strach był silniejszy. Drżąc na całym ciele, rozglądała się dookoła.

Była prawdopodobnie w piwnicy. Kwadratowe pomieszczenie miało nie więcej niż dziesięć, dwanaście metrów kwadratowych. Była przykuta łańcuchem do ściany, wyczuwała pod pośladkami miękkość. Materac? Poduszka?

Nogi miała wolne. Wyciągnęła je przed siebie, zakreślając półkole w poszukiwaniu jakiegokolwiek dostępnego przedmiotu. Nic. Miała wrażenie, że przez moment dotknęła stopą bocznej ściany. Powtórzyła operację, tym razem z prawej do lewej. Oprócz niej, łańcucha i czegoś na kształt poduszki, pomieszczenie było puste. Zaczęła płakać, potrząsając bezradnie dłońmi.

Po kilku minutach uspokoiła się trochę. Próbowwała odtworzyć ostatnie kilka godzin. Uczelnia. Baśka przyniosła notatki na egzamin, Michał je kserował, potem chciał odprowadzić ją do domu. Ale ona nie chciała. Wstąpiła do koktajl baru – beza, nie eklerka. A potem?

Szła ulicą, było gorąco i nagle ktoś (coś) wciągnęło ją do bramy. Poczula zapach. Ostry, chemiczny, a potem już nic. Jaka to była ulica? Nie pamiętała wszystkich nazw, w Krakowie mieszkała dopiero od roku. Chyba któraś przecznica od Lea.

Dopiero teraz poczuła piwniczny chłód. Ubrana w letnią sukienkę i espadryle, tkwiąc tu nieruchomo przez nie wiedzieć ile godzin, trochę zmarzła. Nagłe ruchy tuż po przebudzeniu rozgrzały ją, ale teraz, gdy siedziała spokojnie pod ścianą, zrobiło jej się zimno.

Dlaczego się tu znalazła? Jak długo tu tkwiła? Kim był porywacz i jakie miał wobec niej zamiary? Jeszcze raz szarpnęła ręką. Na przegubach, pod metalowymi obręczami, powstały już z pewnością krwawe otarcia.

A może to jakiś kawał? Zakład? Koledzy ze studiów miewali rozmaite, zazwyczaj głupie pomysły. Podobno miesiąc temu Bartek założył się z chłopakami z trzeciego roku, że zje żywą dżdżownicę. I zjadł! Brrrr... Wzdrygnęła się z zimna i wstrętu.

Przerażała ją panująca wokół absolutna cisza. Przykuta do ściany, ze skrępowanymi rękami i zaklejonymi taśmą ustami, nie była w stanie krzyczeć, podjąć próby wezwania pomocy.

Pozostawało pełne napięcia wyczekiwanie. Tylko na co? Znów zadrżała.

Rozglądając się po ścianach i suficie w poszukiwaniu jakiegokolwiek szczegółu, który mógłby pomóc jej się

oswobodzić, napotkała jedynie nagryzmolone czerwoną farbą dziwne słowo:

ERZSÉBET

Nie pamiętał, kiedy upił się sam. Wolał to od policyjnej stypy, podczas której nikt z zebranych nie miałby ochoty na szczerość i z nikim nie mógłby swobodnie porozmawiać.

Nikt nie znał Pawła tak jak on i dlatego nikt nie miał prawa być z nim tego wieczoru. Kupił w sklepie litrową finlandię, sok grapefruitowy i opróżnił zawartość butelki i kartonu w ciągu niespełna czterech godzin. Płakał, śpiewał, mówił do siebie, włączając uprzednio – uznał to za idealny na tę okazję podkład muzyczny – płytę zawierającą pięć uwertur i introdukcji Richarda Wagnera: *Tannhäuser*, *Lohengrin*, *Latający Holender*, *Rienzi*, *Parsifal*; najlepsze, co napisał ten szalony i w gruncie rzeczy nieszczęśliwy człowiek, nie licząc *Pierścienia Nibelunga* i, spopularyzowanej w rozmaitych produkcjach filmowych, *Walkirii*.

Dziedzic także uwielbiał Wagnera. Jako historyk przeczytał kilka jego biografii i zaskakiwał Kornela wciąż nowymi, nieznanymi faktami z życia lipskiego kompozytora, który był zięciem wielkiego Franciszka Liszta.

Stosował przy tym paralelę wydarzeń historycznych, przyporządkowując polskie zrywy niepodległościowe kolejnym dziełom mistrza, jak go zwykle nazywał. Ręczy pamiętał wzburzenie przyjaciela po przeczytaniu

w gazecie czyjejś recenzji, w której autor porównując Wagnera z Mozartem, pierwszemu zarzucił butę i dumę, wielbiąc drugiego – jak się wyraził – za boski wręcz artyzm.

Rączy przypomniawszy sobie, że w czwartej klasie podstawówki na lekcji religii rozgadali się o Wagnerze. Ksiądz prowadzący katechizę zwykł rzucać w rozmawiających ciężkim pękiem kluczy. W ten sposób naderwał Pawłowi ucho.

Ten bał się przyznać ojcu i wymyślił historię z głównym bohaterem – nieznanym napastnikiem, który zaatakował go na podwórku. Efekt był taki, że pan Kazimierz Dziedzic, wiedziony ideą sprawiedliwej wendetty za synowską krzywdę, fachowo, acz bezpodstawnie obił twarz miejscowemu chuliganowi, który wydał mu się najbardziej podejrzanym. To był ostatni raz, kiedy Paweł skłamał.

Potem był już wyłącznie szczerzy do bólu i ta ortodoksyjna szczerość nie przysparzała mu sympatii. Nie każdy lubi słuchać prawdy o sobie, tym bardziej, jeśli ta odarta z eufemizmów prawda brzmi w czyichś ustach brutalnie i bezkompromisowo. Tak było, kiedy Kornelowi jedyny raz w życiu udało się wyciągnąć przyjaciela na koncert. Dziedzic upił się na smutno i wdał w dyskusję z gwiazdorem rocka.

– Nie wyglądasz na muzyka – rzucił na dzień dobry i już miał o jednego wroga więcej. Potem skrytykował panujący wśród elit trend zmiany imion i nazwisk, aby

te stały się bardziej sceniczne. Nie wiedział przy tym, że gwiazdor posługuje się drugim, „lepszym” imieniem. Konsekwentnie brnął w swojej krytyce, nakręcając się coraz bardziej. Na koniec doszedł do wniosku, że zmiana imienia jest chęcią zmiany osobowości i nazwał całą tendencję chorobliwie snobistyczną. Gwiazdor obraził się i więcej nie podawał Kornelowi ręki.

Od tej pory Rączy selekcjonował miejsca, w których mógł pojawić się w towarzystwie komisarza. Najlepiej piło im się we dwóch w którymś z krowoderskich barów, z dala od wielkomiejskości.

Tak... Dziedzic nie kłamał, ale z wiekiem coraz częściej się zżywał i byle co wyprowadzało go z równowagi. Kornel przypisywał to kryzysowi wieku średniego, nerwowej pracy i nieuregulowanemu życiu seksualnemu. Nigdy o tym nie rozmawiali, ale Rączy domyślał się, że od jakiegoś czasu komisarz był gościem agencji towarzyskich. Raz, a było to podczas mistrzostw świata w piłce nożnej, Dziedzic wygadał się, że po opuszczeniu jednego z krakowskich zamtuzów, uprzejmy, dwumetrowy ochroniarz orientujący się doskonale, kim jest gość i jakie ma zainteresowania, pożegnał go słowami: „Zapraszamy ponownie. Nie można być w dwóch miejscach naraz, więc gdyby pan był zainteresowany, informuję, że Kamerun zremisował ze Szwecją dwa do dwóch”.

Lekarz policyjny stwierdził u Pawła – ponad wszelką wątpliwość – zawał mięśnia sercowego, do którego doszło w wyniku miażdżycy tętnic wieńcowych.

W dokumencie orzekającym zgon sugerował, że pacjent odczuwał prawdopodobnie objawy dławicy piersiowej przy wysiłku czy zdenerwowaniu.

Pewnie, że odczuwał, ale z nikim się tym nie dzielił. Nawet z nim. Mimo wielu lat przyjaźni, wspólnych przygód, mimo że kiedyś uratował mu życie. Kornel nie mógł tego pamiętać, a historię znał tylko z opowieści. Dziedzic pojawił się w samą porę, kiedy Rączy leżał na podłodze tamtej knajpy, a śniadoliczy gangster zamierzał poderżnąć mu gardło. Precyzyjny strzał oddany z Dziedzicowego parabellum położył Araba na miejscu. Potem komisarz osunął się na podłogę. Miał zawał. Antyterrorysty, którzy zjawili się kilka minut później, zastali trzech leżących, z których jeden był martwy, drugi nieprzytomny, a trzeci półżywy ze strachu.

Bohaterem okrzyknięto Kornela. Zdarzenie stało się punktem zwrotnym w karierze dziennikarza śledczego. Rola policji i samego Dziedzica została medialnie zmarginalizowana. Komisarz spędził miesiąc w szpitalu, Rączy odwiedzał go niemal codziennie. Nie rozmawiali o sprawie, ale Kornel wyczuwał podświadomą pretensję przyjaciela. Ten, spytany wprost, zaprzeczył i zmienił temat rozmowy.

Kumplami byli od zawsze. W piłkę grali w jednej drużynie, raz czy dwa zakochali się w tej samej koleżance, razem uczyli się palić papierosy na murku za śmietnikiem. Istniały jednak tematy tabu. Z czasem stały się nimi nadwątlone zdrowie Dziedzica i kobiety.

Po rozwodzie Rączy prowadził się rozwiązle, choć nigdy nie był typem macho-zdobywcy, Dziedzic przeciwnie, żył marzeniami o klasycznej stabilizacji i nie robił nic, aby ją osiągnąć. Może zdawał sobie sprawę, że w ten sposób mógłby więcej stracić, niż zyskać.

Gdy obaj mieli po dwadzieścia lat, wyobrażali sobie, jak w przyszłości będą odwiedzać się nawzajem z rodzinami. Kornel wymyślił, że byłoby świetnie, gdyby ich przyszłe dzieci połączył związek małżeński, przez co staliby się rodziną.

Natalia miała dziewiętnaście lat. Dziedzic zmarł, nie pozostawiając po sobie dziedzica. Nigdy nie zwierzył się Kornelowi, ale ten wiedział nazbyt dobrze, że fakt bezpotomności był głównym powodem depresji przyjaciela. Nagła śmierć spowodowała wygaśnięcie rodzinnej linii.

Życie jest jak jałmużna. Nie ma w nim nic pewnego, z wyjątkiem złych wiadomości. Te rozchodzą się szybko i są chętnie słuchane.

Jak wtedy, gdy siedzieli w trójkę w nieistniejącej knajpie. O tej porze panował stęchły mrok, choć na polu było już całkiem jasno. Rączy i Dziedzic w towarzystwie właściciela lokalu dopalali ostatnie papierosy, słuchając długiej i barwnej opowieści o szlacheckim zjeździe największych rodów Rzeczypospolitej, w którym ten onegdaj uczestniczył.

Niezliczone koligacje rodzinne były absolutnie nie do zapamiętania, ale dzięki temu tworzyły koloryt i jakby endemiczną całość.

Rączy przeniósł się nawet częściowo wyobraźnią do pałacu Lubomirskich, kroczył wraz z narratorem po szerokich, wyłożonych czerwonym dywanem schodach, nachylał się kolejno ujmując, delikatnie, lecz stanowczo, dłonie starych i młodych kobiet. Te dłonie w długich, sięgających łokci rękawiczkach – białych i czarnych – były mu powolne, a on całował je i nieśmiało podnosił wzrok, napotykać dumne spojrzenia. Oczy kobiet łagodniały, tak jak na widok istoty niższego rzędu łagodnieją oczy tych, do których należy władza, pieniądze albo tych, którzy mają wieczną i definitywną przewagę dobrego urodzenia.

– A ty? – Kornel nie usłyszał i przekrwionymi od dymu oczami patrzył pytająco w twarz restauratora.

Dopiero po chwili zdołał odtworzyć pytanie.

– Kornu, zresetuj się. Pytałem o twoje korzenie. – Życzliwy (niby dlaczego?) lub kpiący (mogło tak być) uśmiech Dębowskiego przywołał go do rzeczywistości.

– Galicyjskie mieszczaństwo. Zero błękitnej krwi.

Na twarzy Jonasza nie było śladu zawodu. Jednak chwilę potem zasępił się, jak się okazało – empatycznie.

– Wśród mieszczaństwa też było wielu porządných ludzi – pocieszył Rączego, klepiąc go pojednawczo po ramieniu, a Dziedzic zakrztusił się ze śmiechu.

Ostatni wspólny sylwester w nieistniejącej knajpie. Komicznie wzburzony komisarz z kilkunastoma tłustymi śledziami na kolanach, które ześlizgnęły się z patery prosto na spodnie kupionego specjalnie na powitanie nowego roku garnituru.

Rączy zakąsił śledziem i – nie wiedzieć czemu – wyobraził sobie własny pogrzeb. Natalia będzie płakać albo przeciwnie, stać milcząca, z zaciętymi ustami, przyjmując zewnętrznie młodzieńczo-zbuntowaną pozę rozpaczcy. Pewnie nie zechce odbierać kondolencji. A może w ogóle nie zechce uczestniczyć w publicznej ceremonii i nie pojawi się na cmentarzu. Będzie za to przychodzić w zwykłe dni, aby opowiadać mu o kolejnych chłopakach, o swoich rozterkach i bólach. Może kilka kropel wysokoprocentowego alkoholu wsiąknie w kamienną płytę...

Renata z udawanym smutkiem na twarzy przyjdzie z pewnością. Żeby nie gadali. A może właśnie, żeby gadali, jaką wspaniałą miał małżonkę, która nawet po jego śmierci potrafi się godnie zachować. Przyniesie najdroższy wieniec i położy go w najbardziej widocznym miejscu. Zygmunta ze sobą nie weźmie, żeby nie gadali. A może właśnie, żeby gadali, że nawet po śmierci Kornela była żona potrafi pokazać klasę.

Renata wróci do domu, obejmie Natalię, powie kilka miłych, pokrzepiających słów. Zygmunt uda, że też – po swojemu – trapi się śmiercią Kornela. Uda, że – po swojemu – nawet go lubił, „ale, wiesz, sytuacja, w której wszyscy się znaleźliśmy...” – podejmie. A potem, codziennie i konsekwentnie, najpierw delikatnie, potem zdecydowanie i racjonalnie, aż w końcu drapieźnie i radykalnie, dwoje ludzi będzie przekonywało Natalię, że jej ojciec był złym człowiekiem: nieodpowiedzialnym, zakochanym w sobie pijakiem, przekonany o własnej wielkości egocentrykiem.

Przyjdzie kilku, może kilkunastu kolegów. Postoją i pójdą, komentując po drodze niehigieniczny tryb, jaki rządził jego doczesnym życiem. Ktoś wypowie sakramentalne: „Panowie, biorą z naszej półki”. I roześmieją się, ale inaczej, jakoś tak adekwatnie do sytuacji się roześmieją i pójdą na wódkę.

A na tej wódce początkowo będą wznosić toast za Kornela, a potem pić w różnych innych intencjach, aż wreszcie rozmowa stanie się zwykłą rozmową – o wieńcówce, na którą zszedł i która zagraża każdemu, o diecie, której nie przestrzegał, ale i oni nie przestrzegają, o młodych laskach, które są jeszcze w zasięgu możliwości, ale to już „ostatni dzwonek, panowie”.

Rano będzie ich męczył kac, taki sam, jaki męczył ich setki razy. Kac nie będzie miarą okazji, przy której przyszło (i wypadało) wypić, kac przypomni im, że muszą wstać do pracy, chyba że to będzie akurat sobota.

Czasami wspomną go jeszcze w rozmowach telefonicznych, wspomną go, gdy zejdzie któryś z nich i ktoś powie sakramentalne: „Panowie, biorą z naszej półki”. I ktoś powie: „Panowie, czas strugać piórnik”, a wszyscy roześmieją się tak samo, adekwatnie do sytuacji, śmiechem nieobrażającym drogich zmarłych, śmiechem solidarności z wieczną potęgą śmierci.

Alternatywą jest kremacja. Tak! Każe rozrzucić swoje prochy tu i tam. Nie będą musieli go odwiedzać, zmuszać się, aby w rocznicę śmierci czy jakąś inną rocznicę przyjechać na Salwator albo inny cmentarz.

Ludzie wykupują kwatery w grobowcach na długo przed przewidywanym zgonem, wykuwają w kamiennych lub marmurowych płytach imię, nazwisko, datę urodzenia. Pozostawiają wolne miejsce na datę śmierci – sześć, siedem lub osiem cyfr.

Jednak jestem pieprzonym egoistą. Mentalnym giau-rem, pokręconym gojem, psychicznym gringo na jedno-myślnie reagującej tkance społeczeństwa. Zombie, kosmitą, mutantem zamkniętym w klatce własnych emocji i przeobrażeń.

Czy to wszystko ma jeszcze sens?

Mężczyzna stał za firanką z lornetką przy oczach. Wyraźnie widział jej opięte czerwonym materiałem kobiece kształty, poruszające się w rytm muzyki. Mógłby usłyszeć i samą muzykę, gdyby uchylił okno, ale bał się, że spłoszy swój obiekt pożądania.

Dziewczyna zdjęła sukienkę i teraz prezentowała się w pełnej krasie. Przełknął nerwowo ślinę, żałując, że nie pomyślał o kupieniu profesjonalnej lunety. Im dłużej trwał ten taniec, tym większą odczuwał potrzebę natychmiastowego samozaspokojenia.

Podeszła do niewielkiej, srebrnej wieży i nastawiła inny utwór. Po chwili jej ciało kołysało się znowu, ale jakby wolniej. Nagłym ruchem sięgnęła po coś, co z tej odległości wyglądało jak biała, policyjna pałka. Przedmiot powędrował między uda tańczącej. Stojąc w głębokim rozkroku, trzymając w dłoniach

niewielką tubę na dokumenty, patrzyła w okno, wprost na niego.

Cofnął się w głąb mieszkania, ale ona zauważyła go znacznie wcześniej, zanim jeszcze zaczęła tańczyć. Teraz sylwetka zniknęła.

Chwilę potem wysoki, szczupły mężczyzna o krótko ostrzyżonych blond włosach zbiegł po schodach, założył ciemne okulary i wyszedł wprost na ulicę. Było duszno, a słońce powoli kryło się za dachami domów. Spojrzał na fronton kamienicy. Kamienna płaskorzeźba nad bramą, przedstawiająca sylwetkę biegnącego strusia, przypomniała mu, że musi się pośpieszyć.

Aula Auditorium Maximum przy Krupniczej była wypełniona w trzech czwartych. Maciej Krzysiecki, dyrektor programowy festiwalu, po raz kolejny spojrzał na zegarek. Siedemnasta trzy, a więc trzy minuty temu powinni byli zacząć. Sam był człowiekiem punktualnym i nie lubił nawet małych opóźnień.

Marek Doliński i jego asystentka Basia byli już na posterunku. Doliński poprawiał krawat, rudowłosa Basia przyglądała się krytycznie swoim polakierowanym na krwistoczerwony kolor paznokciom. Brakowało tylko Rączego, ale ten – usprawiedliwiając się pogrzebem przyjaciela – obiecał zjawić się drugiego dnia imprezy.

Czarno-czerwony baner informował o specjalnym pokazie filmowym *Krwawej hrabiny*, obrazu sprzed pięciu lat w reżyserii Julie Delpy, która wystąpiła w nim

również jako odtwórczyni głównej roli – legendarnej morderczyni Elżbiety Batory (1560–1614).

Tematykę konferencji panelowej wykorzystał też znany antykwariusz, Jeremi Targosz, który na niewielkim stoisku przy wejściu do budynku sprzedawał powieści kryminalne, w tym cieszące się największym powodzeniem dzieło Jożo Nižnánsky’ego *Czachticka pani*.

Właśnie przyjechał catering i Krzysiecki pognął co sił do bocznego wejścia. Bez słowa wskazał wnoszącym wiktuały drzwi do niewielkiego pomieszczenia znajdującego się na tyłach auli.

Począł, aż ułożył wszystko na specjalnie przygotowanych stołach, i zamknął drzwi. Głową dał znak Markowi, żeby zaczynał. Było sześć po piątej, kiedy Doliński oficjalnie przywitał zaproszonych gości.

– Nie będziemy posiłkować się przykładami najbardziej znanymi i najczęściej opisywanymi – podjął Doliński. – Mam tu na myśli dwóch największych zbrodniarzy dwudziestego stulecia – Hitlera i Stalina. Zaręczam jednak państwu jako historyk, że dzieje ludzkości zawierają w sobie biografie postaci, które w sensie formalnym nie ustępują wyżej wymienionym. Oczywiście nie chodzi mi o skalę zbrodni czy jej wpływ na losy świata, ale o mord w czystej postaci: jego motyw, sposób realizacji i otoczkę obyczajowo-historyczną.

Basia stojąc koło Dolińskiego z przyklejonym do twarzy uśmiechem, przestępowała z nogi na nogę, co nie uszło uwadze Krzysieckiego.

– Skoncentrujemy się zatem na postaciach seryjnych morderców, a ich krąg zredukujemy, powiedzmy z jednym wyjątkiem, do cekanii, zgodnie z założeniem naszego festiwalu. – Doliński dyskretnie otarł pot z czoła.

– Utworzymy szczególne pary zbrodniarzy, pary nie spięte żadną klamrą historii, działające niezależnie od siebie, w zupełnie innych warunkach i z innych pobudek, a jednak jako osobowości patologiczne mające cechy wspólne. I tak Władysława Baczyńskiego, który działał na Górnym i Dolnym Śląsku, przyporządkujemy Václavovi Mrázkovi, czeskiemu rekordziście. Następnie przeanalizujemy przypadek mistrza blefu w dziedzinie resocjalizacji, Austriaka Jacka Unterwegera. Kolejne spotkanie poświęcimy postaci Eliasa Xitavhudziego, okrutnego zabójcy z RPA. Na deser, żeby było ciekawiej, Zdzisława Marchwickiego, zwanego Wampirem z Katowic, zestawimy z Elżbietą Batory, której śmierć nastąpiła dwudziestego pierwszego sierpnia tysiąc sześćset czternastego roku, czyli za osiem dni będziemy mieli, bo nie powiem, że będziemy ją obchodzić, czterechsetną rocznicę tego faktu.

– To potwarz!

Doliński powiódł wzrokiem po sali. Upłynęło dobrych kilka sekund, zanim w przedostatnim rzędzie, u samej góry zauważył stojącego mężczyznę niewielkiego wzrostu.

– To potwarz dla idei monarchizmu! – powtórzył mężczyzna. – To przemyślane działanie mające

skompromitować rodzinę królewską Stefana Batorego, a co za tym idzie cały ruch monarchistyczny, którego od lat jestem stronnikiem! Przedstawię się. Jan Teodor Gryczewski!

Przez chwilę panowała kompletna cisza.

Maciej Krzysiecki wziął od Dolińskiego mikrofon.

– Proszę państwa, na dyskusję przyjdzie jeszcze czas, za moment pan Marek Doliński poda państwu dokładny program dyskusji panelowych, dotyczących między innymi wymienionych postaci słynnych morderców, działających na terenie Austro-Węgier i państw, które powstały po jego rozpadzie.

– Beze mnie! – krzyknął po raz ostatni Jan Teodor Gryczewski i demonstracyjnie opuścił salę.

O dziwo nikomu nie było do śmiechu. Zapanowało wyczekujące, przerywane pojedynczymi kasznięciami, milczenie.

– To dobry znak, szanowni państwo. – Doliński uśmiechnął się szeroko. – Dopiero zaczęliśmy, a już jedna z wybranych przez nas postaci wzbudziła takie kontrowersje. Zobaczymy, co będzie dalej! Niniejszym pierwszy festiwal Potwory w Popkulturze uważam za otwarty.

– Pewnie, że zobaczycie... – mruknął do siebie krótko ostrzyżony blondyn siedzący w szesnastym rzędzie. Gromkie brawa zupełnie zagłuszyły iście diabelski chichot, który w niekontrolowany sposób wyrwał się z gardła mężczyzny.



Fot. Wiesław Fajfara

Janusz Mika – dziennikarz, publicysta, prozaik, animator kultury. Publikował m.in. w „Dzienniku Polskim”, „Czasie Krakowskim”, a także „Tygodniku Powszechnym”, „Przekroju”, wrocławskim miesięczniku „Rita Baum”, warszawskim „Teraz Rock”, krakowskim „Ha!Art” i wielu innych. W latach 2003–2019 redaktor krowoderskich „Wiadomości Lokalnych”.

W 2012 roku został laureatem nagrody głównej w ogólnopolskim konkursie na najlepsze opowiadanie ogłoszonym przez warszawski miesięcznik „Bluszczy”. W 2013 roku ukazała się jego powieść kryminalna *Limeryki zbrodni* (Wydawnictwo Helion, Gliwice). W 2015 roku jego opowiadanie zostało wyróżnione w konkursie „Dziennika Polskiego”.

W 2017 roku krakowskie Wydawnictwo Alter wydało zbiór jego opowiadań *24 na dobę*. Inne opowiadanie *Wet za wet* ukazało się w 2018 roku w antologii opowiadań grozy *City 4* (Wydawnictwo Forma, Szczecin). W 2019 roku znalazł się w gronie laureatów konkursu na opowiadanie kryminalne, zorganizowanego na stulecie AGH, a wyróżnione opowiadanie opublikowano w antologii *Archiwum Groźnych Historii*.

Janusz Mika (wraz z Krzysztofem Maćkowskim) jest współautorem cyklu czterech książek poświęconych twórczości Georga Trakla i współtwórcą dwóch filmów dokumentalnych *Vater* (Nagroda Specjalna Dyrektora Artystycznego Festiwalu Form Dokumentalnych NURT, Kielce 2018) oraz *Trzej przyjaciele z boiska* (2019).

Dziękuję: Dominice Kawczyńskiej-Wojtuś za wnikliwą analizę tekstu książki; Ani Głowinkowskiej, Pawłowi Klimowiczowi i Krzyszkowi Maćkowskiemu za cenne uwagi, Mariuszowi Bembenkowi za trailer, a Kaziowi Kyrzczowi za dobrą aurę.

Pozdrawiam: Justynę Majewską, Rafała Bilskiego, Marka Górkę, Jacka Młodawskiego i Wszystkie Osoby związane z Fundacją Promocji Kultury „Urwany Film”; Jacka Buzdygana, Jarka Gila i Krzycha Kosowskiego (kolegów z zespołu Genezyp Kapen) oraz społeczność Krowodrzy stanowiącą wszechstronną, nieustającą inspirację literacką.

poleca

